

Tomasz Tyczyński: Porzucone, czyli o pewnym spotkaniu na oceanie

Wyjeżdżając do Argentyny i podejmując decyzję o niepowrocie, Gombrowicz uciekał od słabości chorej nieuleczalnie Europą, szykującej się do samobójstwa. Ale i od słabości bardziej intymnych: wstydlwego erotycznego niezdecydowania, a także od dusznego sporu z czytelnikami i krytyką – pisze Tomasz Tyczyński w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Gombrowicz. (Re)forma polskości”.

Polska i Argentyna, dwie ojczyzny Gombrowicza, do obu miał stosunek miłosny, więc obie można traktować jako porzucone – nieoczekiwanie i bezwzględnie. Nawet złudzenia odjeżdżającego były jak z romansowej opowieści. Gombrowicz płynął do Argentyny, nie myśląc o emigracji, został tam, gdy okazało się, że do Polski wrócić nie może. Z Argentyny przyjeżdżał do Europy tylko na chwilę, na kilkumiesięczne stypendium. Nawet kiedy okazało się, że brakuje mu sił (nie tylko fizycznych) na powrót, postanowił poszukać swojego miejsca właśnie na Południu. Do obu też, jak do porzuconych kochanek, miał Gombrowicz stosunek bardzo emocjonalny i krytyczny. Siebie nimi tłumaczył i usprawiedliwiał.

Znaków do napisania o tym dostałem niewiele, ale i tak ich część warto oddać Gombrowiczowi, niech mówi tekstem z „Dziennika”, bardzo znaczącym:

Burza, jaką nas powitał Atlantyk, nie była taka sobie codzienna (powiedział mi potem steward, że od bardzo dawna taka mu się nie zdarzyła), ocean był wszechzatracający, wiatr dławił i wiedziałem że na tej pustyni szalonej wyrasta już przede mną, wyznaczona kierunkiem naszym, Europa – tak, nadciągała już, a ja nie wiedziałem co zostawiam za sobą. Jaką Amerykę? Jaką Argentynę? Och, co to właściwie było, tych lat dwadzieścia i cztery, z czym ja płynę do Europy? Ze wszystkich spotkań, jakie mnie oczekiwały, jedno było najkłopotliwsze... musiałem się spotkać z jednym białym statkiem... który wypłynął z polskiej Gdyni w drodze do Buenos... z którym więc miałem się spotkać nieuchronnie za jakiś tydzień na pełnym oceanie... Był to „Chrobry”. „Chrobry” z roku 1939-go, z sierpnia, ja na nim byłem i Straszewicz i Rembieliński, senator, i minister Mazurkiewicz, rozbawione grono... tak, wiedziałem, że spotkać się muszę z owym Gombrowiczem, płynącym do Ameryki, ja, Gombrowicz, dziś odpływający z Ameryki. Jakaż ciekawość żarła mnie wtedy, potworna, odnośnie do losu mojego, czułem się wtedy w losie moim jak w ciemnym pokoju, gdzie pojęcia nie masz o co nos rozbijesz, ileż bym dał za najniklejszy promyk rozświetlający zarysy przyszłości – i oto dzisiaj ja nadpływam tamtemu Gombrowiczowi, jak rozwiązanie i wyjaśnienie, jestem odpowiedzią. Czy jednak, jako odpowiedź, będę na wysokości zadania? Czy zdołam w ogóle coś powiedzieć tamtemu, gdy „Federico” wynurzy mu się na mglistym obszarze wód z żółtym, potężnym kominem swoim, czy nie będę musiał przemilczeć?...

To byłoby przykre...

Tylko przykre? Mocarz Gombrowicz, który gdzieś tam po cichu myślał o sobie jako o współczesnym Szekspirze, zakłopotany? Tylko? Jak sztubak przyłapany na... (tu najbardziej wstydlive skreślić).

Wyczytany z tekstów Gombrowicza powrót do Europy – po stabilizację, sukcesy i uznanie, jest jednak klęską – taką, jaką ponosimy wszyscy, nie znajdując odpowiedzi na pytania o egzystencję: po co? Dlaczego? W jakim sensie? Tyle że Gombrowicz i z tej klęski potrafił zrobić literaturę.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Takie spotkanie na pustyni oceanu, niczym w akermanśkim stepie, zdarza się większości z nas. Zapisać je potrafi niewielu. Zapisać tak, żeby pozostało znaczące i przejmujące po ponad półwieczu – mało kto.

Wiadomo, opisywano to już po wielekroć: Gombrowicz z Polski do Argentyny uciekał przed formą narzuconą, w poszukiwaniu, jeśli nie formy absolutnie własnej, bo w nią już po *Ferdydurke* raczej nie wierzył, to formy luźniejszej, gęby dopiero stającej się, dającej się jeszcze kształtować podług własnej twarzy. Ta polska forma, wspomniana czy odtwarzana raczej po emigranckich latach, nie była

imponująca: błoto, bieda, coraz bardziej dyktatorska forma urzędzenia kraju, słabość i wtórność intelektualna. Do czego tęsknicie? – pytał Gombrowicz bogoojczyźnianą emigrację.

Wiedziecie, że ojczyzna wasza to nie Grójec, ani Skierniewice, nawet nie kraj cały, i niech krew uderzy wam na policzki rumieńcem siły na myśl, że ojczyznę waszą wy sami jesteście! Cóż z tego, że nie przebywacie w Grodnie, Kutnie lub Jedlińsku? Czyż kiedykolwiek człowiek przebywał gdzie indziej, niż w sobie? Jesteście u siebie, choćbyście znajdowali się w Argentynie lub w Kanadzie, ponieważ ojczyzna nie jest miejscem na mapie, ale żywą istotnością człowieka.

Gombrowicz uciekał również przed formą osobistą, to także wiadomo. Z teatru, w którym role rozdane były raz na zawsze, czyli z otępiającego środowiska ziemiańskiego, które w dworku w Bartodziejach pod Radomiem tak wykpiło jego debiut. Z żalosnej bohemy artystycznej, do której nawet dobrze nie należał, choć przecież z zawiścią zerkał na skamandrycki stolik kawiarniany. I od rodziny będącej źródłem cierpień, mówiąc banalnie, ale prawdziwie:

Więc cierpiełeś a jednocześnie wstydziliś się swego cierpienia i ty, który już wówczas wcale nieźle dawałeś sobie radę z demonami o wiele groźniejszymi, tu załamywałeś się okropnie; dyskwalifikowany własnym bólem swoim. Biedny, biedny chłopcze! Dlaczego mnie wtedy nie było przy tobie,

dlatego nie mogłem wejść wtedy do tego salonu i stanąć tuż za tobą abyś poczuł się uzupełniony późniejszym sensem twego życia.

Tak do siebie „bartodziejskiego” mówił jeszcze w Argentynie, ale przecież potem w Europie mógł to powtórzyć do siebie argentyńskiego, teraz z pozycji starości, kończącej powoli wszystko. Zresztą robił to, odpominając i zmyślając *Kronos*, inkrustowany wzruszającymi inwokacjami do siebie samego sprzed lat.

Wyjeżdżając do Argentyny i podejmując decyzję o niepowrocie, Gombrowicz uciekał od słabości chorej nieuleczalnie Europy, szykującej się do samobójstwa, oraz z marszowej kolumny ustawionej przez Marszałka i jego następców. Ale i od słabości bardziej intymnych: wstydliwego erotycznego niezdecydowania, rozbuchanego na kuchennych schodach i wakacyjnych gumnach, a także od dusznego sporu z czytelnikami i krytyką, nieczytającymi wcale albo czytającymi tak, jakby nie czytali. Gdy po latach Gombrowicz odtwarza polską biografię w dzienniku intymnym, to właśnie o tym pisze najwięcej: o pokątnym erotyzmie i otwartej walce o pozycję i uznanie artystyczne. Chyba od początku wiedział, iż pisarz, aby się stworzyć, musi najpierw stać się nikim. Gdzie indziej miało się to dokonać jak nie na argentyńskim końcu świata, przynajmniej tego europejskiego?

Pomógł przypadek, zaproszenie na dziewiczy rejs „Batorym”, choć jak wiadomo nie ma przypadków, przynajmniej w literaturze – są tylko są kreacje i konstrukcje:

... i skądże bym wiedział wtedy, że moim losem będzie Argentyna? To słowo nigdy nie dało się przeczuć. A jednak napisałem wówczas opowiadanie pod tytułem Zdarzenia na brygu Banbury. Płynę w tym opowiadaniu do Południowej Ameryki. (...) Złudzenia! Miraże! Fałszywe związki! Żaden ład, żadna architektura, ćma w moim życiu, z której nie wyłania się ani jeden prawdziwy element kształtu – a przecież dzisiaj atakują mnie całe ustępy tego opowiadania, rodzące się we wspomnieniu, blade, zrozpaczone, jak zjawy.

Gombrowicz wiele był w stanie zrobić dla literackiej wymowy, nawet datę przyplłynięcia do Buenos Aires sfalszował w pamięci, żeby była taka jak jego znacząca, najważniejsza liczba – 22. Zabobonna numerologia, trochę jak z *Paragrafu 22*. To nie był jednak *Paragraf...*, a raczej cyrograf.

Argentyna była jednak diabelstwem, cena za wolność od siebie z przeszłości, polskiego, za wolność poszukiwań artystycznych i erotycznych była wysoka: bieda, chwilami głodowa, kulturalne żebractwo i włóczęgostwo, kłopoty z policją ścigającą za homoseksualizm, choroby weneryczne, przeraźliwa nuda w Banco Polaco. Ale powstawały ważne teksty i zaczęły się tłumaczyć szerszej, międzynarodowej publiczności. Wytłumaczeniem była młodość.

O tym też już powstały książki, o wampiryzmie Gombrowicza sycącym się młodością i usiłującej przedłużyć ją własnej niedojrzałości; o argentyńskich ćwiczeniach w uwodzeniu i w stylu; o uczeniu się języka

nowego, choć wciąż polskiego. Argentyna traktowana była jako młodość i niższość, prawdziwie arystokratyczna. A także jako pewna możliwość.

Ale Polska w argentyńskim bezczasie była obecna chyba nawet bardziej niż w polskim fragmencie biografii Gombrowicza. Człowiek Gombrowicz próbujący się spod niej wydobyć, ale przecież i patrzący na nią z oddali – jak się okaże w Berlinie – tęsknie. Powrotu do kraju jednak nie było, w powietrzu berlińskiego ogrodu wisiał tamten zapach, zapamiętany z przedwojnia, był to już jednak zapach śmierci, a zarazem rozkładu. O powrocie nie mogło być mowy, bo nie istniał świat, który Gombrowicz zostawił. Imitował go jednak do końca. Rita Gombrowicz wspomina, że ich mieszkanie w Vence umeblował pisarz według Małoszyckiego gustu.

Powrót okazał się zresztą niemożliwy w każdym wymiarze, nie tylko w przestrzeni i czasie, nie tylko do siebie z czasów młodości i polskości. Dotyczyło to również Gombrowicza – Argentyńczyka, bo jak żalił się gdzieś w Dzienniku, argentyńskapamięć o nim istniała powierzchownie i płytko, pozostała pamięcią o skandaliście i oryginale. Trzeba było mocniej zadbać o swój obraz, wyrzucał sobie, by potem do końca zajmować się już głównie autokreacją.

Późny Gombrowicz to także klęska starzejącego się człowieka: ani nie udało się ustalić, kim się jest, ani nie zaprogramowało się wystarczająco pamięci o sobie. Spóźniony sukces artystyczny i komercyjny pomniejszony został degrengoladą ciała. Ostatnie gry z młodymi i jeszcze te zabiegi, nieco żenujące, do ostatniej chwili, ostatniego zapisu *Kronosu*, te gadaniny o Noblu, wyklócanie się o tłumaczenia i honoraria nawet z najbliższym przyjacielem. Małostkowość? Pewnie tak, ale też pragnienie, którego nasycić chyba nigdy nie można: żeby chociaż ta literatura, która przecież kosztuje diabelnie dużo, przetrwała i była obecna, zyskała sobie drugie życie.

Więc taki był bilans tych porzuceń, ucieczek, poszukiwań?

To byłoby przykre. Jeśli on mnie zapyta ciekawie:

– Z czym wracasz? Kim teraz jesteś?... a ja mu odpowiem zakłopotanym gestem rąk pustych, wzruszeniem ramion... i może czymś w rodzaju ziewnięcia „aaach, nie wiem, daj mi spokój!” Kołysanie, wiatr, szum, ogromne piętrzenie się i rozbełtanie zlewające się u horyzontu z niebem nieruchomym, które nieruchomością uwieczniało płynność, a w dali majaczący się z lewej strony brzeg amerykański, jak wstęp do wspomnienia... czyż nie zdobędę się na inną odpowiedź? Argentyna! Argentyna! Jaka Argentyna? Co to było – Argentyna? A ja... co to jest teraz, to ja?

To ja teraz to po prostu literatura. Wielka, bo wielkim i odważnym pisarzem był, przyjmując bez uników swoją biografię i wpisując ją w tekst literacki.

Jest jeszcze kwestia obecności i nieobecności, odwagi i dezercji, drażliwa dla Gombrowicza bardziej, niż chciał się do tego przyznawać. W „Kamiennym Potoku” Jan Kott przywołuje pewną scenę, rozgrywającą się w okupowanej Warszawie, podczas prywatki, która podtrzymywana siłą godziny policyjnej trwała do rana:

Nad ranem dobiegły mnie dziwne odgłosy z sąsiedniego pokoju. Uchyliłem drzwi i zobaczyłem dwóch młodych mężczyzn kłęczących naprzeciwko siebie. Walili głowami o podłogę, a potem na: raz, dwa, trzy! Podnosili głowy i przedrzeźniali się wzajemnie, wykrzywiając się jak najpotworniej. Była to walka na miny, aż do zupełnego zniszczenia przeciwnika, aż do miny, na którą nie było już żadnej kontrminy.

Ci dwaj mężczyźni, w których zabawie trwał Gombrowicz w miejscu i czasie najmniej oczekiwanym, nazywali się: Jerzy Andrzejewski i Czesław Miłosz.

Zresztą, jak pisze Kott, nie ma większego znaczenia, że byli to akurat ci dwaj. Albo ma o tyle, o ile pokazuje prawdziwą obecność pisarza poprzez jego dzieło. Jedyłą, jaka została mu dana i jedyną naprawdę

możliwą – jeśli rzeczywiście jest twórcą.

Tomasz Tyczyński



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego